

Demokracja to nie prezerwatywa

Rozmowa z KAZIMIERZEM KUTZEM, reżyserem filmowym, teatralnym i telewizyjnym

– Państwowy Instytut Sztuki Filmowej przymierza się do rozpisania konkursu scenariuszowego na wielkie produkcje historyczno-patriotyczne. Miałby pan dla nich jakiś pomysł?

– Myślę, że na wstępie powinni wrócić do arcydzieła zmarłego niedawno Bohdana Poręby i zrobić jeszcze raz „Hubala”. I reżyser, i jego film wprost idealnie się mieszczą w narodowo-katolickiej, archaicznej, reliktovej ideologii partii pana Kaczyńskiego.

– Pamiętam pyszną anegdotę z czasów, kiedy „Hubal” powstawał. Jest rok 1972. W warszawskim SPATiF-ie lekko już wstawiony Poręba spotyka Kutza, też już nie pierwszej świeżości. Poręba mówi: *Kaziu, robię teraz film, którym rzucę cały naród na kolana. Kutz mu na to: Ty, uważaj, bo jak się naród podniesie z kolan i ci przypierdoli...*

– Chyba rzeczywiście doszło między nami do wymiany myśli.

– Ale naród, zamiast przypierdolić, pobiegł do kin. „Hubala” obejrzało 12 milionów widzów.

– Tłumaczyłem to wiele razy. Jeśli chodzi o sprawy narodowe, nasze społeczeństwo zawsze było wrażliwe. Porębie udało się trafić w czuły punkt. Co ani na jotę nie zmienia mojego zdania o nim. To był absolutny bolszewik, fanatyk i antysemita, któremu całe życie zajęło tropienie „spisków” i „układów”. Środowisko filmowe nienawidziło go. Mogę się zrewanżować anegdotą. Kiedyś spotkał się ze słynnym karykaturzystą Andrzejem Czeczotem i odmówił podania ręki na przywitaniu. A Czeczot mu na to: *I słusznie, panie Poręba, bo pan jest chujem, a chuj rąk nie posiada...* Niech pani nie marnuje czasu na gadanie o tym facecie.

– Wróć więc do konkursu, który organizuje Państwowy Instytut Sztuki Filmowej...

– Nie ma do czego wracać, bo Instytut właściwie już nie istnieje. Kilka tygodni temu PiS wykończył go rękami ministra kultury Piotra Gliškiego. Trwało to trochę, bo pan profesor kombinował, jak narzucić PISF-owi swoich ludzi. W końcu wykombinował i do Instytutu wpuszczono prawicowych publicystów, speców od pisowskiej agitacji politycznej – Ewę Stankiewicz, Piotra Semkę, Piotra Zarembe, Rafała Ziemkiewicza, Jana Pospieszalskiego, Piotra Gocieka, Roberta Tekielego i paru



Fot. Justyna Rojek/East News

innych. W dodatku, wbrew wcześniejszym ustaleniom, minister usunął część liderów komisji eksperckich, którzy mają decydujące zdanie w sprawie przyznawania dotacji. Nie spodobał mu się m.in. Magdalena Łazarkiewicz i Janusz Zaorski.

– Spodobał się za to Antoni Krauze. Rok temu zrezygnował z funkcji eksperta, a teraz znowu jest na liście.

– Pan Antoni jest męczennikiem. W czasach, kiedy dyrektorem była Agnieszka Odorowicz, jego filmowi o Smoleńsku Instytut dwa razy odmówił dofinansowania, bo uznano, że scenariusz nie daje gwarancji na powstanie wartościowego dzieła. Teraz na pewno się okaże, że jednak daje gwarancje. Wszystko już będzie po bożemu. Żadne „ldy” i „Pokłosa” nam nie grożą. Nominanci Gliškiego, polityczni komisarze, dopilnują, żeby powstawały martyrologiczne czytanki, na których będzie się edukować patriotycznie młodą generację. Dbały o to wszystkie ustroje totalitarne, więc Kaczyński też musi zadbać. Będą Grunwaldy, bitwy warszawskie, bitwy po Wiedniem, Żółkiewski pod Kłuszynem i Kościuszkowski pod Racławicami. Do tego cała martyrologia wojenna.

– Nie kusi pana, mimo wszystko, żeby zrobić jeszcze jakiś film?

– Mowy nie ma. Z tego interesu dawno się już wycofałem. Jestem emerytem.

– A gdyby dostał pan scenariusz, na przykład, oparty na dramacie rodzinnym *Olgerda i Ryszarda Terleckich*? Ten pierwszy,

znakomity historyk, przez prawie 30 lat był współpracownikiem SB. Ten drugi, też historyk, dzisiaj wicemarszałek Sejmu i przewodniczący Klubu Parlamentarnego PiS, kiedy kilkanaście lat temu odnalazł teczkę ojca w archiwach IPN-u, natychmiast zlustrował ojca na łamach „Rzeczpospolitej”. *Patriota czy „ojcobójca”?*

– Cholernie trudny temat, ale rzeczywiście pasjonujący. Takich przypadków jest sporo również wśród filmowców. Niewyobrażalne dramaty. Znam co najmniej dwóch reżyserów, którzy żyją z kompleksem „dziecka kolaboranta”. Może właśnie dlatego zostali artystami i robią filmy, które są dalekie od jakiegokolwiek myślenia patriotycznego... Tak czy owak, pod butem pisowców taki projekt nie ma szans na realizację, przecież nie będą robić donosów na swoich. Oni będą robić tylko takie kino historyczne, które jest zgodne z ich ideologią. Coś w rodzaju prawicowego realizmu socjalistycznego. Z teatrem zrobią dokładnie to samo. Chyba pani widzi, co się tam teraz dzieje?

– Minister Gliški poinformował, że „trwa przegląd całości życia teatralnego w Polsce”...

– No, a jakżeby inaczej? Przecież muszą wykazać, że białe jest czarne, a czarne białe. Wykażą więc, że teatr jest wstrętny, obrzydliwy, niekatolicki, grzeszny, nienarodowy, niepatriotyczny i cholera wie, jaki jeszcze. Jedno wielkie bezhołowie, z którym trzeba wreszcie skończyć, i oni na pewno z nim skończą.

– Ale jak? Resortowi kultury podlegają zaledwie trzy sceny – Teatr Narodowy i Teatr Wielki Opera Narodowa w Warszawie i Stary Teatr w Krakowie. Cała reszta, 140 teatrów, jest w gestii samorządów.

– Pani kpi czy o drogę pyta? Jakie to ma znaczenia, czy teatr jest państwowy czy samorządowy?

– Te 140 scen finansują samorządy. Ministerstwo nic do nich nie ma.

– Już ma. Po raz pierwszy od 26 lat powołano w tym ministerstwie stanowisko pełnomocnika od teatrów. Objęła je pani Wanda Zwinogrodzka. Kompetencji nie mogę jej odmówić, zna się na tym, co robi. Kiedyś była całkiem niezłym krytykiem teatralnym w „Gazecie Wyborczej”. Niestety, od tego czasu bardzo się „rozwinęła”. Poznałem ją bodaj w 2006 roku, za pierwszych rządów PiS-u. Była wtedy kierownikiem artystycznym Teatru TV, w którym stworzyła słynną Scenę Faktu, czyli przerażające czytanki patriotyczne, w których za każdym razem było to samo: wszędzie szpiegomania, donosicielstwo, kolaboracja, ubecja i jej więzienia, katowanie, maltretowanie i mordowanie. Poziom był taki, że nie dało się tego oglądać. Szmira, a nie teatr.

– Powiedział mi pan wtedy, że pisowcy dokonali na teatrze zbrojowego gwałtu!

– Teraz zgwałcą po raz drugi. I to, co państwowe, i to, co samorządowe. Łatwo pójdzie, bo Zwinogrodzka zna się na rzeczy. Zna środowisko, wie, kto gdzie reżyseruje i jakie robi spektakle. No i ma oczywiście zakodowane w pamięci pisowskie nakazy, zgodnie z którymi widzów, zwłaszcza tych młodych, trzeba „integrować przez miłość do ojczyzny”. A jak wiadomo, w prawicowym wydaniu Polskę kochają tylko ci, którzy są gotowi za nią umrzeć, cała reszta to „komuniści i złodzieje”. Pani wiceminister po tym tzw. przeglądzie życia teatralnego rozśle oficjalne listy do wszystkich prezydentów miast i burmistrzów, w których wyłoży im, o co teraz chodzi w kulturze, i poprosi, żeby się nad tym zastanowili... Chce się pani ze mną założyć, ilu samorządowców nie da się zastraszyć?

– Podobno to przedstawiciele środowiska teatralnego prosili o dokonanie „przeglądu”. Zna pan nazwiska tych, którzy sami proszą o ocenzurowanie swojego dorobku?

– Nie swojego, tylko szefów i kolegów z zespołu. To zasadnicza różnica. Nieudacznicy wreszcie zwierzyli dla siebie szansę. Dają do zrozumienia, że w razie czego są do dyspozycji. Mają przecież słuszną orientację polityczną, a praktyki nauczą się w biegu. Mogą reżyserować, grać, być scenografami, kierownikami literackimi, dyrektorami kreatywnymi... Tacy zawsze się znajdują. Wystarczy sobie przypomnieć, jak był realizowany w Polsce realizm socjalistyczny. Jeden na drugiego donosił, byle tylko przeżyć albo przynajmniej poprawić sobie egzystencję.

– A teraz kto donosi?

– Słyszałem o kilku aktorkach, kilku aktorach i kilku reżyserach, którzy od lat się nie kryją ze swoimi politycznymi sympatiami i fobiami. Garstka ludzi.

– Plus „przeciętni polscy inteligenci”, o których minister Gliński opowiada w wywiadach, że się żalą, bo nie mogą iść do teatru na normalną sztukę. „Gdzie nie pójda, to wdepną w jakiś eksperyment”.

– Ci, którzy głosują na PiS, czyli prawie 20 proc. dorosłego społeczeństwa, na pewno tych eksperymentów nie cierpią. Akurat tego pan minister sobie nie wymyślił. Ich skargi są autentyczne. Tyle tylko, że powoływanie się na „głos ludu i środowiska” nie jest wystarczającym pretekstem do tego, żeby ten współczesny teatr ukatrupić.

– Pan też go nie znosi. Kiedy dwa lata temu Jan Klata wyreżyserował w Narodowym Teatrze Starym w Krakowie „Do Damaszku” Strindberga i widzowie po raz pierwszy w dziejach tej sceny przerwali spektakl, bo okazał się ponad miarę obsceniczny, wkurzał się pan, że wszystkie sceny zostały przejęte przez pokolenie, któremu blisko jest do stylu Klaty. Klasyczny teatr ulega demolce, bo nie mieści się w gustach współczesnych, młodych reżyserów.

– I wkurwiam się nadal. Ten odezwany od literatury teatr nie jest moim teatrem. Nie chodzę do niego, bo niczego ciekawego się po nim nie spodziewam. Co jednak nie upoważnia mnie do tego, żebym uznał, że trzeba go wykończyć. On w całej Europie jest podobny. Takie czasy po prostu i trzeba to przyjąć do wiadomości. Ważne jest tylko to, żeby ten teatr robili ludzie utalentowani. Talent ma prawo do wszystkiego.

– Według ministra Glińskiego – niekoniecznie. On twierdzi, że wolność twórcza ma szerokie granice, ale one istnieją.

– Głodne kawały opowiada. Jeśli te granice gdziekolwiek istnieją, to tylko w jego umyśle. Artysta ma prawo do buntu, sam sobie wyznacza granice wolności. Niestety, ani pan Gliński, ani inne „pisiory” nigdy tego nie rozumieją. To są diabły wcielone, które potrafią tylko niszczyć. Zniszczą więc i kinematografię, i teatr, i media publiczne. Wszystko zacznie zdychać.

– Telewizji publicznej od dawna życzy pan, żeby wreszcie zdechła i na jej zgliszczach powstała całkiem nowa stacja...

– Co najmniej tak dobra, jak ta z czasów, kiedy przewodniczącym Komitetu ds. Radia i Telewizji był Maciej Szczepański. To był najlepszy okres w dziejach tej instytucji. Gierek dał Szczepańskiemu ogromne pieniądze na telewizję. I co zrobił Maciuś? Wymyślił, że Program I będzie robił dla rządzącej partii – chamska propaganda i nic więcej. Ale Dwójka miała być dla normalnych ludzi. Stworzył mu ją od podstaw genialny Mariusz Walter. Powstawały znakomite seriale, ambitne filmy fabularne, rozrywka na poziomie, o jakim dzisiaj można tylko pomarzyć... Maciuś był wprawdzie politrukiem, ale inteligentnym. Wykształcony facet, polonista z dyplomem UJ. Najgorszym politrukiem dla TVP okazał się Robert Kwiatkowski, komuch z wojskowej rodziny, wychowany na działacza. To on jako pierwszy zrobił z telewizji publicznej telewizję polityczną – rządową i do obrzydzenia partyjną, i to on jako pierwszy zaczął się ścigać ze stacjami prywatnymi, wprowadzając do TVP straszną szmirę w miejsce kultury wyższej. Bo tej wyższej nie rozumiał i nienawidził jej, podobnie zresztą jak inteligencji. Skomercjalizował telewizję aż do bólu i tak to twa po dziś dzień.

– Wierzy pan politykom PiS-u, kiedy obiecują, że w „dużej” ustawie medialnej znajdą się zapisy gwarantujące dekomercjalizację?

– Pomysł w pryncypiach jest jak najbardziej słuszny. Dopóki w telewizji będą reklamy, ona nigdy nie stanie się telewizją obywatelską. Burdel pozostanie burdelem. Jeśli Kurskiemu uda się stworzyć prawidłową konstrukcję tej instytucji, jestem gotów uznać, że wielkie czystki, których tam teraz dokonuje, nie pójda na marne.

– Nawet jeśli jedyną misją telewizji okaże się „kultywowanie tradycji patriotycznych” i „respektowanie chrześcijańskiego systemu wartości”?

– Nawet wtedy, bo pisowcy przecież w końcu odejda, a ta konstrukcja zostanie i będzie można wypełnić ją nową, obywatelską treścią.

– Kiedy odejda?

– Mam nadzieję, że znacznie szybciej, niżby to mogło wynikać z kalendarza wyborczego. Od lat mówię, że prawica jest głupia z natury, a w naszym kraju wręcz kwitnie głupota. Jej Wielki Wódz całe życie marzył o tym, żeby zrobić z Polski swoją zabawkę i marzenie wreszcie mu się spełnia. Przekonał część społeczeństwa, że jest tak, jak jemu się zdaje, a zdaje mu się, że demokracja to tylko rodzaj prezerwatywy wielokrotnego użycia. Na szczęście jest jeszcze druga część społeczeństwa, która nie myśli kategoriami państwa narodowego wyobcowanego z Europy, nie chce być zdupiem, do którego wypycha ją Kaczyński. Polska szykuje się do zrzucenia okrągłostołowej skóry i na naszych oczach, na naszych ulicach,

przystępuje do budowy demokracji oddolnej, czyli obywatelskiej.

– Co wcale nie wyklucza, że skończy się autokracją.

– Nie wierzę. Powtórzę to, co powiedziałem kilka miesięcy temu: PiS przejmie władzę, a potem przestanie istnieć, bo swoją niszczycielską siłą, brutalnością, chamstwem doprowadzi do tego, że społeczeństwo ich wykosi. I tak się stanie. Sprzeciw wobec tego, co ci szaleńcy wyprawiają, będzie rósł, aż w końcu lud wyruszy na urzędy i przegoni ich stamtąd.

– Rewolucję pan wieszczy?

– Owszem, ale bezkrwawą, à la polonaise, w duchu „Solidarności”. Tej pierwszej, oczywiście.

**Rozmawiała:
HALINA RETKOWSKA**